MYŚLIWY

MIESIĘCZNIK

ROK II | POZNAŃ, LISTOPAD 1938 | NR 11



Mal. prof. Jackowski

Obraz ścienny w sali rycerskiej pokrzyżackiego zamku w Bierzgłowie na Pomorzu

Kantata do św. Huberta

Święty rycerzu kniei!
My biegniem na Twój zew
wśród świątyń Twych wierzei,
błagalny wznosząc śpiew.

Z karpackich śnieżnych szczytów,
z kresowych mgielnych mszarów
i z borów nadwarciańskich,
podolskich kwietnych jarów.
Gromada Twoich biegnie sług
przez Wisłę, Niemen, Wartę, Bug.

Święty rycerzu kniei!
My biegniem na Twój zew
wśród świątyń Twych wierzei,
błagalny wznosząc śpiew.

Błogosław nam, od złego chroń
i pozwól długo nosić broń
i daj, gdy zagrzmi złoty róg,
by drżał przed naszym okiem wróg.

Święty rycerzu kniei!
My biegniem na Twój zew
wśród świątyń Twych wierzei,
błagalny wznosząc śpiew.

Niech naszych jasnych, prawych dusz
nie mąci waśni zgrzyt lub cień,
ani tajemnic leśnych głusz.
Niech w Polsce zawsze będzie dzień.

Święty rycerzu kniei!
My biegniem na Twój zew
wśród świątyń Twych wierzei,
błagalny wznosząc śpiew.

Stanisław Woszczyński

BAŻANTY

Zanim przystąpię do omawiania hodowli bażantów, słów kilka poświęcę naturalnemu rozsiedleniu tych barwnych ptaków łownych, które do Europy sprowadzone zostały z Azji w wieku XI (jak to podaje S. Kamocki w Kal. Myśl. na rok 1931); Haacke wspomina, iż pierwsze placówki aklimatyzacyjne znajdowały się w Grecji, skąd ba-



Fot. A. Wiśniewski

Bażant obrożny

żanty sprowadzone zostały przez Rzymian na półwysep Apeniński; stamtąd już rozprzestrzenił się ten ptak po pozostałych krajach Europy, których klimat sprzyjał jego bytowaniu.

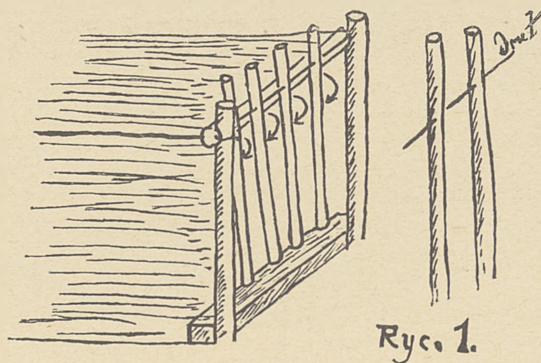
Ojczyzną wszystkich gatunków rodzaju Phasianus, czyli tzw. „bażantów myśliwskich" jest Azja. Najdalej na zachód występującym gatunkiem jest bażant kaukaski, Ph. colchicus, który znany jest również pod nazwą bażanta czeskiego, ponieważ najlepiej i najdawniej aklimatyzował się w Czechach i w okolicy Wiednia oraz na Węgrzech. Charakterystyczną cechą bażanta kaukaskiego (czeskiego) jest brak białej przepaski (obroży) na szyi. Zasadniczy ton ubarwienia koguta jest ochrowo-brunatno-miedziany. Głowa i szyja zielone, przy czym głowa, zwłaszcza w części potylicznej, ma odcień złocisty, zaś szyja odcień nieraz wprost fioletowy. Ogon żółtawo-brunatny z miedziano-fioletowymi brzegami sterówek i czarnymi prążkami na środkowych sterówkach oraz kropkami na bocznych. Pierś i wole mają piękną miedziano-czerwoną barwę z odcieniem fioletowym i czarnymi brzegami piór. Na bokach barwa blednie przechodząc w pomarańczową, zaś brzuch jest czarny i brunatnieje w kierunku podogonia. Bażant ten jest mieszkańcem północnego Kaukazu, wschodnich i częściowo południowych wybrzeży Morza Czarnego oraz zachodnich wybrzeży Morza Kaspijskiego. Na południowo - wschodnich wybrzeżach Morza Kaspijskiego występuje bażant perski, Ph. persicus, różniący się od poprzedniego białą barwą skrzydeł, upodabniającą go do wspaniałych bażantów niziny arabsko - kaspijsko - murgabskiej (Ph. principalis) o purpurowej piersi i chiwańskiego (Ph. chrysomelas) o zielonej piersi. Ostatni z tych dwóch ma zaczątki białej obroży, wyraźnie występującej u bażanta mongolskiego (Ph. mongolicus) „mongoła" — ciemnomiedzianej barwy i z białą obrączką na zielonej szyi. Mongoł występuje w dorzeczu Syr-Danii na wschód do Czarnego Irtysza. Jeszcze dalej na wschód pojawiają się bażanty z turkusowymi piórami nad nasadą ogona, z białą obrożą i szarym czubkiem głowy, jakby przykrytej czapeczką. Są to: bażant obrożny (Ph. torquatus) występujący od rzeki Amuru, Mandżurii i wschodniej Mongolii do wschodnich Chin, oraz podobny doń bażant chiński (Ph. satscheunensis), występujący na północ od gór Tiań-Szania, oraz bażant formozański (Ph. formosanus). Odmiennie od tego typu wyglądają dwa japońskie bażanty. Bażant pstry (Ph. versicolor) z metalowo zieloną barwą piersi i bażant miedziany (Ph. soemmeringi) barwy kasztanowatej ze złotym odcieniem. W północnych Chinach występuje najpiękniejszy z bażantów myśliwskich — bażant królewski (Ph. reevesi). Ptak ten (kogut) ma białe ciemię, czarną obrożę, gliniasty odcień ubarwienia i niezwykle długi ogon, dochodzący do 1 m. Upierzenie ptaka posiada charakterystyczny biało i żółto nakrapiany delikatny rysunek. Zaznaczyć trzeba, że jako pochodzące z krain o surowym klimacie, najodporniejsze są bażanty obrożne i mongoły; ostatnie odznaczają się prócz tego najokazalszą tuszą. Dobrze znoszą nasz klimat bażanty pstre i królewskie. Najbardziej rozpowszechnione są u nas bażanty czeskie (kaukaskie), obrożne i angielskie, będące mieszańcami obrożnych z mongołem i z bażantem pstrym. Czystej krwi mongoły i bażanty pstre są u nas bardzo rzadkie. O bażancie królewskim należy nadmienić, że krzyżując się ze wszystkimi odmianami daje niepłodne potomstwo — prawie same koguty. Tryb życia wszystkich bażantów na wolności jest prawie jednakowy, wobec czego wystarczy opisać go w odniesieniu do jednego gatunku, np. Ph. colchicus. Do ulubionych miejsc bytowania bażanta kaukaskiego (Mensbier) zaliczyć trzeba niewielkie lasy w dolinach z gęstym podszyciem i runem. Im więcej jest chmielu, jeżyn, wina i innych pnących się i pełzających roślin, tym chętniej osiedla się tam bażant. Ptak ten lubi także niewielkie polanki śródleśne, lecz zawsze kryje się w gąszczu leśnym lub w trzcinie, jeśli lasu w okolicy brak. Bażant prawie stale przebywa na ziemi, nawet w razie niebezpieczeństwa ucieka pieszo, więcej licząc na szybkość nóg, niż na skrzydła i tylko w ostateczności wzlatuje jak rakieta wprost w górę, głośno łopocąc krótkimi skrzydłami. Leci zwykle w prostej linii i uleciawszy na niezbyt duży dystans siada na ziemi, kryjąc się w zaroślach. Na drzewach ptaki te niekiedy nocują lub wzlatują na nie nad ranem, kiedy pada silna rosa, przeszkadzająca im w żerowaniu. Poza okresem godowym bażanty trzymają się niewielkimi stad-

kami, które z rana i wieczorem regularnie udają się na żerownie. Woda jest dla ptaków tych nieodzowną i nigdy się od niej zanadto nie oddalają. Pożywienie bażanta jest bardzo urozmaicone, gdyż jest wszystkożernym; najbardziej jednak lubią bażanty rozmaite jagody.

W połowie marca lub w początku kwietnia rozpoczyna się okres godowy. W zupełnie dzikim stanie jest bażant ptakiem monogamicznym. Dopiero w stanie półdzikim, aklimatyzowanym, stał się wielożeńcą. W tym czasie kogut głośno wykrzykuje sylaby „kor-ork“, bijąc przy tym skrzydłami. Chociaż nie daje się zaobserwować wyraźnego tokowania, to jednak koguty spotykające się między sobą w tym czasie, wykazują wielką agresywność i waleczność. Pora niesienia jaj rozpoczyna się wcześniej lub później, zależnie od klimatu. Kogut nie bierze udziału w urządzeniu gniazda, lecz chroni je i potomstwo jedynie przed niebezpieczeństwami.

Gniazdo mieści się zwykle w niedostępnej gęstwinie w jakimś wgłębieniu pod namiotem z nisko pochylonych gałęzi. Liczba jaj waha się od 10—20 sztuk. Wylęgiwanie trwa do 26 dni. Młode są odrazu bardzo samodzielne, chociaż rosną powoli; z tego powodu lęgną się bażanty tylko raz do roku.

Teraz powiem o zasadniczych wytycznych hodowli bażantów, która dopiero w ostatnim dziesiątku lat zaczęła się w Polsce poważniej rozwijać; znacznie jednak ustępuje hodowli tego ptaka w Niemczech, gdzie roczny odstrzał wynosi około miliona sztuk; u nas natomiast najwyżej kilkadziesiąt tysięcy. Do najpoważniejszych przyczyn, tamujących rozwój hodowli bażantów, trzeba zaliczyć kosztowność tej hodowli, oraz kłopotliwe i wymagające utrzymywania specjalnej straży poczynania ochronne. Wskazanym jest zakładanie hodowli bażantów w miejscach siedliskowo dla nich odpowiednich. Jednym z najważniejszych czynników, warunkujących powodzenie hodowli, jest wybór odpowiedniego terenu. Najodpowiedniejszym miejscem będzie obszar obejmujący zarówno niewielkie kompleksy gęstego, obficie podszytego lasu iglastego lub mieszanego, zwłaszcza zagajniki świerkowe, jak i skrawki pól i łąk, gdzie bażant przez wiosnę, lato i wczesną jesień przebywa najchętniej, znajdując dostateczną ilość pokarmu. W lesie przebywa stale tylko zimą. Ważnym warunkiem jest także jakość gleby; najlepszą jest zlekka piaszczysta, niezbyt podmokła, a zarazem żyzna. Woda odgrywa rolę drugorzędną, bo bażant, tak jak inne kurowate, gasi pragnienie spijając rosę; pożądaną jest jednakże obecność wody bieżącej lub czystego stawu (S. Kamocki twierdzi, że staw dlatego jest lepszy od strumieni, że nie powoduje wędrówek bażantów, które biegnąc wzdłuż strumieni nieraz zanadto się oddalają i już nie wracają do macierzystego łowiska). S. Kamocki w swojej cennej pracy pt. „Hodowla bażantów“ podaje jako minimum obszaru bażantarni 500 ha pól i 100 ha zagajników lub lasu starszego. Obce lasy nie powinny się bliżej znajdować, jak w odległości 5 km. Zagajniki powinny znajdować się w środku terenu, tam też winien być staw. Pożądanym jest, aby las obfitował w różne krzewy i drzewa owocowe oraz w jagody. Na polach trzeba urządzać jak najliczniejsze remizy. Rowy i wszelkie nieużytki obsadzać trzeba tarniną, a tu i ówdzie zasadzać kępy drzew szpilkowych. Przed wpuszczeniem bażantów należy oczyścić teren z nadmiaru drapieżników, zdziczałych psów i kotów. Żadne drapieżniki na terenie bażantarni nie mogą być tolerowane. Założyć hodowlę bażantów możemy w sposób trojaki: 1. sztuczny wylęg z jaj sprowadzonych, 2. wpuszczanie młodych odchowanych bażantów i 3. wpuszczanie starszych sztuk. Przy każdej hodowli nieodzownym jest utrzymywanie specjalnego strażnika łowieckiego—bażantarnika. Zakładanie bażantarni pierwszym sposobem — czyli przez sprowadzanie jaj jest bardzo ryzykowne, bo trzeba liczyć się z tym, że najwyżej tylko 50% jaj da nam bażanty. Pamiętać trzeba, że po upływie 2 tygodni jajko bażanta traci 50% wartości wylęgowej. Znacznie praktyczniej jest urządzić kilka wolier i sprowadzić na jesień pewną ilość kogutów i kur, które na wiosnę zniosą jajka, co do świeżości których nie będziemy mieli wątpliwości. Trzeba sprowadzać kury wychowane w wolierach, a nie dzikie, nieobyte z widokiem człowieka. Bażancice zaczynają się nieść w pierwszych dniach kwietnia. Jaja zbieramy i podkładamy pod indyczki lub kwoki. Najpóźniej koło 15 maja trzeba bażanty wypuścić na wolność, gdzie zniosą jeszcze pewną ilość jaj i wyprowadzą młode. Ujemną stroną tego sposobu jest stosunkowo słabszy rozwój bażantów z jaj wolierowych, aniżeli z jaj zbieranych w lesie. Drugi sposób — sprowadzanie młodych, dwu lub trzymiesięcznych bażantów razem z prowadzącą je indyczką, jest korzystniejszy od pierwszego chociażby dlatego, że unika się wszelkich inwestycyj w postaci wolier lub budek. Nie potrzeba mieć wtedy doświadczonego bażantarnika, a wystarczy tylko sumiennie spełniający swe obowiązki strzelec. Najprostszym sposobem


Ryc. 1.

jest wpuszczanie jesienią lub wiosną dorosłych kur i kogutów, lecz tylko wówczas wyniki są dodatnie, kiedy tereny są bardzo dobre i bażanty nie rozchodzą się w okolicy. Myśliwym amatorom doradzam stanowczo drugi sposób, zaś przy prowadzeniu bażantarni na większą skalę, w połączeniu ze zmodyfikowanym pierwszym, czyli z pozyskiwaniem jaj wolierowych z własnej hodowli.

Wychowywanie bażantów z jaj jest bardzo skomplikowane. Nasiadki winno się wybierać bardzo starannie i dezynfekować je w celu usunięcia pasożytów. Budki wylęgowe ustawiać najlepiej w specjalnych wolierach. Pod kurę podkłada się 15—20, a pod indyczki do 25 jaj. Po 10 dniach jaja się przegląda i odrzuca zepsute lub niezalęgnięte. Wysiadywanie przez kurę lub indyczkę trwa tylko



Fot. E. Kossecki

Locha

24 dni (krócej niż na wolności o 2 dni). Wyklute pisklęta przez 24 godziny trzyma się bez jedzenia w sicie wypełnionym puchem i okrytym rzadkim płótnem. W ciągu pierwszych 3 dni karmi się bażanty siekanym białkiem, potem dodaje się żółtko z dodatkiem krwawnika lub sałaty, a potem przejść można na sprat lub pencel (rodzaj jajecznicy na mleku z odciśniętą wodą). Koniecznym jest dodawanie jajek mrówczych. Po 5—6 tygodniach stopniowo przechodzi się na jaglaną kaszę lub ryż na mleku, a gdy wyrosną dostatecznie, na pszenicę. Młode karmi się 4—5 razy dziennie, po wyrośnięciu 3 razy. Najlepszymi wychowawczyniami są indyczki, bo nocują na drzewach z bażantami, a w dzień uczą je rozpoznawać wrogów i ostrzegają przed niebezpieczeństwem. Jesienią spędza się bażanty z pól do zagajników, gdzie przygotowuje się dla nich podsypy-budki z gałęzi świerkowych z pochyłymi daszkami od strony zachodniej. Obok robi się budki obserwacyjne dla bażantarnika. Łapanie odbywa się albo za pomocą 1,5 m szerokich i 1,5 m długich ram z siatką sznurkową, pociąganych za sznurek przez bażantarnika w odpowiednim momencie, albo za pomocą pułapki automatycznej prostokątnego kosza wiklinowego, który ma następujące urządzenie: przy otworze umieszcza się szereg pionowych żerdek — nasadzonych na pręcie lub grubym drucie — swobodnie ustępujących najlżejszemu naciskowi z zewnątrz, a zaczepiających się o karbowaną deseczkę przy naciskaniu od wewnątrz (ryc. 1). Bażanty przynęcone pokarmem włażą swobodnie do wnętrza kosza, zaś z powrotem wydostać się nie mogą. Woliery nie powinny być wyższe jak 1,5 m przy długości 6 do 10 m, a szerokości od 3—5 m. Z góry rozciąga się siatkę luźną metalową o oczkach do 4 cm, z boków zaś oczka nie powinny przekraczać 2 cm. Do woliery dobudowuje się szopę służącą za schron w czasie długotrwałej słoty. Szopę od strony woliery osłania się też okapem ze słomy, sięgającym prawie do ziemi i zabezpieczającym wnętrze przed deszczem.

Wszystkie te prace i kłopoty oraz znaczne nieraz wydatki wynagrodzi sowicie zadowolenie myśliwego-hodowcy z udanego zabiegu i widok pięknych egzotycznych ptaków, zdobiących łowisko barwnymi swymi sylwetkami.

Inż. W. Lindemann

W opisie swoim nie wspomina autor o jednej z najnowszych ras bażancich, a mianowicie o bażantach „tenebrosus" (nazwa polska nie istnieje jeszcze). Jest to odmiana sztucznie wyhodowana. Przez zesumowanie się barwika, powstał kolor łupkowo-czarny względnie granatowy. Z bliska wygląda tenebrosus pięknie jak paw lub kraska; z dala zlewa się kolor w jednostajny — ciemny. Budowa tenebrosusów jest silniejsza od mongołów, posiadają one też dłuższe cieki.

Zaletą bażantów „tenebrosus" jest to, że nie mają skłonności do wędrowania z łowiska, a zalety te przeważnie dziedziczą krzyżówki powstałe z bażantów tenebrosus i innych. Ostatnio zaprowadzono w kilku łowiskach polskich tę odmianę bażantów. Osobniki te chowają się dobrze i stosunkowo silnie się rozmnożyły.

Wskazanym byłoby rozszerzyć rasę tę w polskich łowiskach, gdyż odporne są na wpływy atmosferyczne, a ponadto nie wędrują. O bażantach tenebrosus p. str. 48 i 87/38 „Myśliwego".

NA TROPACH CHYTRUSA

(Felieton łowiecko-przyrodniczy)

Myśliwski wózek parokonny toczył się zwolna drogą leśną, wtłoczoną między strzeliste arkady sosen. Podmuchy wiatru ogołacały gałązki dość gęstego miejscami podszytu, tocząc pęki suchego listowia koleinami drogi. Jesienny chłód, łagodzony pozbawionymi ciepła przebłyskami słońca, bezlistne brzózki, omotane tęsknicą pajęczej przędzy i leśny zapach zamierającego zwolna życia usposabiał do milczenia. Konie wspięły się na wzgórze i stanęły. Do ambony niedaleko. Ostrożnie zsiada gospodarz łowiska, przytrzymując sztucer i lornetkę, by metalicznym odgłosem nie zakłócić ciszy, tym bardziej, że jesteśmy, jak mnie objaśnił szeptem, niedaleko zagajnika, w którym

daniele mają swą ostoję. Ostrożnie, od drzewa do drzewa, często przystawając, brniemy przez wysokie wrzosy, kierując się w stronę ambony, wzniesionej na skraju starodrzewu z widokiem na spływający po łagodnej pochyłości zagajnik. Każdy chrzęst szczebla drabiny, trzeszczenie deski pod podwójnym ciężarem, rozłożonym niesprawiedliwie, bo protesty tarcicy wyraźnie wskazywały na wagę sąsiada, wszystko to napawało nas obawą, że wzbudzi podejrzenie zwierzyny. Toteż pierwszy, kicający pod czatownią szarak, wywołał solidarne westchnienie ulgi. Szelest w zagaju obiecywał ukazanie się nowej zwierzyny. Po chwili spod wiszaru sośnicy wychyliła się ciemna głowa, a czujne łyżki nadsłuchiwały dłuższy czas, zanim uspokojone zwierzę odważyło się uszczknąć wiązkę trawy. Po pewnym czasie wychyliła się z gąszczu danielica. Wzniesiona głowa, napięte mięśnie karku i tułowia wskazywały ciągle pogotowie do ucieczki, gdyby coś podejrzanego podrażniło czułe chrapy i łyżki. Zwrot głowy w kierunku gąszczu kazał się domyślać zbliżania dalszych sztuk, na co wskazywał szelest trącanych gałązek. Nastawiając okular lornetki podchwyciłem badawcze spojrzenie sasiada, lustrujące oparty o poręcz sztucer, skrzydełko bezpiecznika i ochraniacz na szkle lunety. W wyobraźni rysował zapewne kapitalnego łopatacza, któremu tyle poświęcił wieczorów i ranków — jak dotąd bez okazji do strzału. Gotów był uwierzyć w złe fatum: gajowy jakże często spotykał tego wspaniałego, regularnego, o szerokim rozłożeniu dłoniastych łopat byka; syn gospodarza łowiska tylekroć z bólem serca opuszczał sztucer, nie chcąc zdobyciem tego właśnie trofeum ranić serca ojcowskiego. Tymczasem upragniony zwierz nie śpieszył pod wyznaczony adres.

Znów coś zaszeleściło. Ręka wysuwa się ostrożnie po Mannlichera. W ślad za łanią danielą wysuwa się pstrokate koźlę, jedno, potem drugie. Pocieszny malec naśladuje z powagą mamę, strzygąc łyżkami i chwytając wiatr wilgotnymi chrapkami; bez zapału szuka czegoś w kępkach trawy. wreszcie bezceremonialnie zaczyna ssać matkę. Po rozpaczliwej z mej strony perswazji na migi, że przecież mały obrót dla skierowania na tę śliczną scenkę teleobiektywu nie popsuje niczego, zaczynam manipulować. Niestety! Pogarszająca się z każdą minutą widoczność pozwalała ostatecznie zdobyć dość blade zdjęcie, nie nadające się do reprodukcji — a jakaż szkoda . . .

Jakiś daleki łomot. — Jednym susem wpada cała trójka do zagaju, a wraz ze zbliżającym się trzaskiem suszu sadzi poprzez sosnowy gąszcz łania, ścigana przez dyszącego od pędu i pożądania rogatego kochanka. Trzask, krótki tętent i hałaśliwa para znika w leśnych labiryntach. Nawet czasu nie starczyło, by określić z grubsza wartość łowną rogala. Łopatacza ani śladu. Po takim hałasie tym bardziej. Bogatsi w doświadczenie jeszcze jednego zawodu brniemy przez ciemności skrawkiem nieba gwiaździstego znaczoną drogą.

Po kilku dniach wątpliwej pogody między strzępami białych chmur pojawia się błękit. Wczesny, bo już popołudniowy wschód księżyca, wywabia na ambonę. Postawiono ją na dobrym przesmyku, nieopodal skraju lasu, łąk, bagien i dobrego poletka z okopowym. Na wyżynie ośmiu z górą metrów wiaterek jest dosyć dokuczliwy. I już zbiera ochota „uziemienia“ się i sznurowania do dworu, gdy gdzieś, daleko, niewyraźnie poczyna swe tęsknoty miłosne wyrażać jeleń. Wnet odpowiada mu drugi. I tak w szum wiatru, pogwar drzew, monotonię trzeszczących pod naporem wichru wiązań ambony wpada potężny, urzekający pierwotnością, wypowiadający moc, wściekłość i tęsknotę zew księcia lasów. Już ani pomyśleć o zejściu z ambony, gdy gdzieś, w cieniach nocy, ukryci rywale mierzą łomotem zwierających się wieńców ostatnie godziny kończącego się rykowiska.



Fot. P. Kunst

. . . wysuwa się pstrokate koźlę

Szare, niemal wyczuwalną gęstością wilgotnej waty nawisające ponad bagnami opary zasłaniają widok, wyolbrzymiając i zniekształcając otoczenie. Ostrym świstem skrzydeł tną powietrze krzyżówki, zapadając z pluskiem na dalekim jeziorze. Gdzieś na łączce beknął niewidzialny kozioł. Rosa perli

się obficie na trawie, znacząc ciemniejszymi smugami miejsca, kędy szła zwierzyna. Świt rozdygotał członkami, wmawiając w senną wyobraźnię wątpliwą wartość przedwczesnej wędrówki. W świetle wstającego ranka odcina się coraz bardziej



Fot. P. Kunst

Śpiczaki — daniele

czarna, zwolna zieleniejąca lizjera lasu od rdzawych wzgórz, porosłych tatarką. Od lasu oderwał się jakiś wysoki, szary kształt. Podnoszę lornetkę, serce zaczyna łomotać... byk! Stoi granitowo szary, wyniosły, nieruchomy, zadarta wysoko głowa dźwiga wspaniałe, symetryczne, okazałych rozmiarów poroże. Stoi zaledwie w odległości 60 metrów od opuszczonej przed 3 godzinami ambony. Olśniony a zarazem zdruzgotany beznadziejnością tego niezwykłego spotkania nie śmiem się ruszyć z miejsca. Daremnie gajowy podaje swe „niezawodne sposoby" podejścia byka. Zwierz nas już zoczył — zatem przewaga u niego. Bez przekonania w dobry skutek podchodu, przeżuwając gorzki żal do siebie o fatalne błędy taktyczne w posunięciach wobec tego chytrusa, postanawiam bardzo ostrożnie, z uwzględnieniem wiatru, podsunąć się pod przypuszczalny przesmyk, wiodący łańcuchem wzgórz, łączących skraj lasu, przy którym stał byk, z sąsiednim kompleksem leśnym Nareszcie ruch wstępuje w szarą bryłę. Dumny łeb wykonuje lekki obrót i prezentuje z profilu bezkonkurencyjne w tej okolicy łopaty. Pochylając je nagłym kaprysem nad grzbietem pokazuje porównawczo ich rozmiary. Jest w tej chwili tak majestatyczny, że z lekkim sercem dałbym za niego dobrego łownego jelenia. Ostatecznie ma dosyć tej pozy. W kilku nerwowych, sprężynowych podskokach, zaakcentowanych machnięciem niespokojnego ogona dostaje się na grzbiet góry, przystaje, po czym rusza przesmykiem, jaki przewidywałem, sprawiając tym niemałą satysfakcję. Zdyszani podbiegamy pod wierzchołek wzgórza, za którym dokładnie nam na wprost, odcinają się na szarym jeszcze niebie łopaty daniele. Głowy nie widać. Za to w całej okazałości, jakby się chciały wryć na zawsze w pamięć, rysują się brązową płaszczyzną strzępiaste, mocne, szeroko rozczłonkowane daniele oręże. Zanim osiągnęliśmy szczyt, byk odwraca się błyskawicznie, ukazując w ucieczce sadliste, imponujące lustro. Otrząsnąwszy się z wrażenia świeżej porażki, pochylamy się nad tropem. Głębokie odciski w lepkiej ziemi, ich wymiary, wzajemne oddalenie i nachylenie do osi długiej tułowia wskazują raz jeszcze na kapitalną sztukę. I od tej chwili oko w każdym napotkanym tropie wypatruje cech dobrze zapamiętanych na wzgórzu, na pamiętnym przesmyku. Pragnienie nowego, dobrze uplanowanego spotkania poczyna podświadomie działać jak tęgi narkotyk, osłabiający swym działaniem jadowitą siłę niejednej życiowej udręki.

Pod sprężystym okapem sosnowych splotów, w zaciszu gęstego młodnika, przeciętego cienistym, głębokim jarem dorastają koźlęta pod troskliwą opieką danielicy. Zwinięte rozkosznie w kłębek w głębokiej trawie leniwie wystawiają swe centkowane boki na ciepłe pieszczoty słonecznych plam, wyszukiwanych skrzętnie w dość zwartej zieleni. Od czasu do czasu aksamitne łebki o lśniących, dużych, o naiwnym wyrazie ślepkach zwracają się w stronę czujnej na wszystko łani. Jej łyżki wiecznie ruchliwe, przewidująco mądry wybór legowisk z uwzględnieniem jak największej gwarancji bezpieczeństwa zapewniają pociechom spokojny wypoczynek, wesołe igraszki i miłe wyprawy na żerowisko. Uczą się, jak wychodzić z gęstwiny, jak, nie zdradzając swej obecności bezmyślną ucieczką należy wyzyskać cienie drzew i zasłony zieleni i niespostrzeżenie dla wroga przepuścić go tuż koło siebie, korzystając z ochronnych zalet sukni.

Wieczorne spotkania na wcinającym się w las łanie seradeli są dla koźląt poglądową lekcją zachowania się. Pilna obserwacja starych, ich karcące znaki, coraz to rosnąca samodzielność wykształcają zwolna wszystkie cechy, właściwe gatunkowi. Nastają przenikliwe chłody. Chmary daniele poczynają przejawiać dziwny niepokój. Danielice obojętnieją na piski swych malców, oddalają się od nich. Jakieś ukryte pragnienia zmuszają je do ruchliwości. Tymczasem łopatacze, świadome swej mocy, pędzone żądzą przestrzeni i awanturniczych wędrówek, przemierzają przestrzenie leśne, najniespodziewaniej w coraz to innej ukazując się stronie. Stopniowo jednak upodobania ich poczynają faworyzować od lat poszukiwane ostoje w gęstych zagajeniach sosnowych i wilgotnych olszniakach. Coraz więcej w nich

stłoczyło się tropów na tych samych przesmykach, a bystre oko myśliwego dostrzega dobrze znaną mu z dawnych łowów przemianę w zachowaniu łopataczy. Włóczą się coraz częściej jakieś senne, mało przytomne po leśnych bezdrożach, stawają się tępe, nieczujne.

Nadszedł okres godowy — bekowisko. Rankiem, spowitym w mgielne opary, o zmroku, co wdziera się chciwie pod nawisy sosnowe i olszową drągowinę, chłodne porywy jesiennego wiatru niosą tęskny, stłumioną namiętnością dławiony krtanią i chrapami zew miłości. Niebaczny na nic łopatacz, wparłszy się badylami w rozmiękłą próchnicę olszniaka, unosi trójkątny łeb, kładzie po grzbiecie rozłożyste łopaty i dysząc ciężko wyrzuca z siebie raz po raz chrapliwe wyznania. Czasem tuż obok przedrzeźnia go rywal. Wówczas rzuca mu gniewny charkot, schylony groźnie łeb potrząsa orężem, a wściekły od zazdrości zwierz rzuca się z furią na oślep w gąszcz, kryjący zuchwalca. Bo tęgi łopatacz potrafi wymusić sobie szacunek u słabszego.

Namiętny, bezprzytomny okres gonitwy, walki o względy danielic płochych i trzymanie w szachu przeciwników mało przewiduje czasu na włóczęgę po żerowisku. Kilka pośpiesznie wyrwanych marchwi, pozbierane w pośpiechu kasztany, ulubiony przysmak, zapobiegają zupełnemu opadnięciu z sił. Troska o bezpieczeństwo spada w dużej mierze na łanie. Dopiero pod koniec okresu godowego mocne łopatacze zaczynają wracać do dawnego trybu życia — ostrożnych, przewidujących, nieobliczalnych w swych ruchach mądrych samotników.

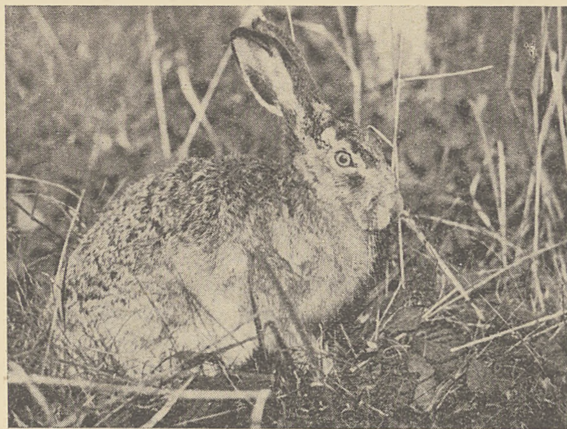
W przedłużeniu oprawionego w szczery, sosnowy starodrzew jeziora jest bagno, splątaniną chaszczy nieprzejrzanych i drzew skarlałych pokryte. Niewielka polanka połączona wąskim pasmem trawy z wspinającym się po pochyłości lasem stanowi ulubione miejsce harców danielich. Tędy wiedzie też poważny, tak dobrze znany i w miejscach niezarosłych dobrze widoczny ślad kapitalnego. Pogoda niezbyt obiecująca — siąpie dokuczliwy kapuśniaczek. Ale czy na dobrego łopatacza pogoda może być zła? Dobrze zamaskowane stanowisko pod jałowcem stoi pod dobrym wiatrem do przypuszczalnego kierunku nadejścia „upragnionego". Lornetka o nadzwyczajnej sile światła zapewne pozwoli go w porę zauważyć. Monotonne godziny, mierzone nieskończonymi smugami deszczu, wloką się leniwie. Przenikająca wilgoć nie zdoła jednak zgasić iskierki nadziei, że może jednak... Wskos za mną szelest... ledwie dosłyszalny... znów... Sekundę cicho i nagle! Z przeraźliwym w tej ciszy łomotem, gwałtownym trzaskiem gałęzi, druzgotanych tęgim porożem ucieka bezpowrotnie jakiś ciemny kształt. Nie wiem, co to było, ale coś mi mówi, że to on, przebiegły łopatacz.

Zwolna wlokłem się do domu. Przez chmurę niepowodzenia przedarł się błysk radosny: jest! A więc spotkamy się!

Józef Wysocki

KILKA SŁÓW O SPOSOBACH POLEPSZANIA STANU ZAJĘCY

Nawiązując do artykułu dra L. Ossowskiego w nrze 10/38 „Myśliwego" pt. „Szarak", uważam za celowe dodać słów kilka o sposobach polepszania jakościowego i ilościowego stanu zajęcy. Zając szarak jest zwierzyną pospolitą i wszędzie występującą, lecz w różnym, rzecz jasna, nasileniu ilościowym zależnie od siedliska, kultury rolnej, ilości szkodników i drapieżników, oraz sposobów łowieckiego zagospodarowania terenów i wreszcie od zamiłowania ludności miejscowej do kłusownictwa i wnykarstwa. W związku z powyższymi czynnikami nieraz stan zajęcy w łowisku bywa tak mierny, że nawet stosowanie prawidłowego opolowywania terenu z pozostawieniem $^1/_3$ powierzchni nieopolowanej co roku w innym miejscu, wpływa niedostatecznie na polepszenie tego stanu. Wówczas na siedliskach, odpowiadających wymaganiom tej zwierzyny czyli na terenach wyposażonych zarówno w dostateczną ilość pól uprawnych, jak i w niewielkie kompleksy leśne (głęboka knieja odpowiednia dla grubego zwierza, do hodowli zajęcy nie nadaje się zupełnie) wskazanym jest zasilanie łowiska przez wpuszczanie zajęcy skądinąd sprowadzonych, względnie wyhodowanych w specjalnie w tym celu założonych parkach. Taki park powinien posiadać co najmniej 10 ha powierzchni. Najważniejszym jest przygotowanie zawczasu na terenie parku pólek, paśników,



Fot. A. Wiśniewski

Szarak

remiz, skrawków podorywek tak, aby o każdej porze roku park mógł zadowolić pod względem pokarmowym swoich mieszkańców.

O ile miejscowe zające odznaczają się dostateczną dorodnością i zdrowotnością, zalecałbym stosowanie hodowli w parkach zajęczych sztuk złowionych w okolicy — z zachowaniem odpowiedniego stosunku płci, czyli 1 samca na 2 lub 3 samice. Zarodowe zające po otrzymaniu przychówku należy pozostawić w ogrodzeniu. W tym celu przy ogrodzeniu głównym montuje się zagrodę dodatkową przenośną, która ma takie odległości między szczeblami, że młode zajączki swobodnie przez nie się przedostają do tego ogrodzenia, skąd wędrują na wolność (specjalnie wmontowane w tym celu w ogrodzeniu deski unosi się do góry i podpiera się kołkiem). Zające hodowane w parkach należy intensywnie podkarmiać, zwłaszcza w miesiącach zimowych ograniczając nieco podkarmianie przed porą parkotów w celu zapobieżenia otłuszczaniu się samiczek, wpływającym ujemnie na ich płodność. Nie należy zapominać o tym, że przy zbyt dużej ilości zajęcy w parku mogą wybuchać epizoocje, a więc trzeba zachować umiar i nie trzymać więcej od 30 do 40 sztuk na 10 ha. Równocześnie powinniśmy usilnie tępić drapieżniki w obrębie parku i w jego okolicy, gdyż zrozumiałym jest, że ściągają one zewsząd zwabione łatwo dostępnym łupem. Łowisko należy w tym czasie przysposobić, zakładając remizy i oszczędzając istniejące zarośla. Drugi sposób polepszania stanu zajęcy polega na sprowadzaniu kompletów zarodowych i wpuszczaniu ich do odpowiednio przygotowanego łowiska względnie do parków w celu przetrzymania przez pewien okres aż do czasu całkowitej asymilacji. Dotychczas zabieg ten polegał na sprowadzaniu zajęcy dorosłych, które przeważnie od razu puszczało się na wolność. Uważam to postępowanie za całkiem niewłaściwe, ponieważ dorosłe sztuki po odbyciu uciążliwej i denerwującej podróży, od razu wypuszczane, nigdy prawie nie pozostają w łowisku, lecz wywędrowują nieraz bardzo daleko, a zatem zabieg mija się z celem. Przetrzymane w parku zachowują się one nieco lepiej, lecz także są nadmiernie płochliwe i z trudem przyzwyczajają się do nowych warunków bytowania.

Znacznie lepsze wyniki otrzymujemy wówczas, gdy sprowadzamy zające młode, wyrośnięte do $^1/_3$ wielkości dorosłego. Młode zajączki są spokojniejsze od dorosłych i zwykle pozostają tam, gdzie je wpuszczono. Bardzo ważną ich cechą jest łatwość przyzwyczajania się do nowych warunków siedliskowych. Pamiętać jednak należy, że są one bardziej niż dorosłe narażone na niebezpieczeństwo ze strony drapieżników i człowieka, a zatem wymagają intensywniejszych zabiegów w tej dziedzinie i większej czujności ze strony hodowcy. Wskazanym jest wobec tego podchowywanie ich w parkach.

Jako podstawową zasadę przy sprowadzaniu zajęcy zarodowych przyjąć musimy następujący postulat: do łowisk o wyższej kulturze rolnej i łagodniejszym klimacie sprowadzać należy zające z okolic o klimacie ostrzejszym i gorszym siedlisku, a więc bardziej „zahartowane", gdyż przy postępowaniu odwrotnym, powodzenie naszej akcji będzie więcej niż wątpliwe.

Wyniki naszych poczynań w dużej mierze zależą od sposobu przewożenia złowionych sztuk. Zające przewozić należy w specjalnych skrzynkach dopasowanych do wielkości sztuki z zachowaniem pewnego luzu, aby zapobiec szamotaniu się zająca. Skrzynka taka winna posiadać górną ściankę przewiewną, sporządzoną z gęsto przybitych żerdek, zaś dno zaopatrzone w otwory do ściekania uryny.

Wnętrze skrzynki wyściełać trzeba sianem i zaopatrywać małego podróżnika w dostateczną ilość pożywienia.

Reasumując powyższe, podkreślę raz jeszcze, że wymienione zabiegi hodowlane mogą mieć zastosowanie tylko w takich łowiskach, gdzie siedlisko, położenie łowiska i warunki socjalne, czyli odległość od osiedli i poziom etyczny ludności nie uniemożliwiają z góry pomyślnej rozmnoży tej zwierzyny. *F. W.*

ZASADY TRESURY MŁODEGO POSOKOWCA

Niedawno temu jeszcze można było na palcach jednej ręki policzyć znajdującą się w Polsce ilość posokowców (hanowerskich czy bawarskich).

Dziś, dzięki sprowadzeniu kilku reproduktorów tej rasy z Niemiec, ilość posokowców powiększyła się znacznie. Rozsiane są nieliczne egzemplarze młodych piesków w Małopolsce Wschodniej, Białowieży, Warszawie i na Pomorzu. Szczeniaki pierwszego miotu (ubiegłorocznego) dziś są w wieku 13 miesięcy i dawno już czas pomyśleć o ich układaniu.

Często też otrzymuję zapytania właścicieli tych piesków, jak układać szczeniaka, jak go chować itp. Nie sposób odpisać i opisać każdemu szczegółowo na powyższy temat, to też na łamach „Myśliwego" podam w ogólnych zarysach jak karmić szczeniaka i jak go chować do pierwszego roku. Zainteresowanych hodowlą i tresurą posokowca odsyłam do doskonałej broszury Nadleśniczego Freverta „Prawidłowa tresura posokowca" [1] wzgl. do broszury podpisanego [2], traktującej w ogólnych zarysach o rasach, hodowli i układaniu posokowców.

Młodym psom należy podawać początkowo na dobę trzy razy chleb razowy, rozdrobiony na papkę letnim, słodkim mlekiem, rozcieńczonym wodą

[1] Forstmeister W. Frevert — Die gerechte Führung des han. Schweisshundes. Cena 3,60 mk. Nakład P. Parcy — Berlin.

[2] Posokowce — inż. Leona Ossowskiego — Warszawa 1935. — Cena zł 1. Administracja, „Łowiec Polski". W-wa Nowy Świat 35.

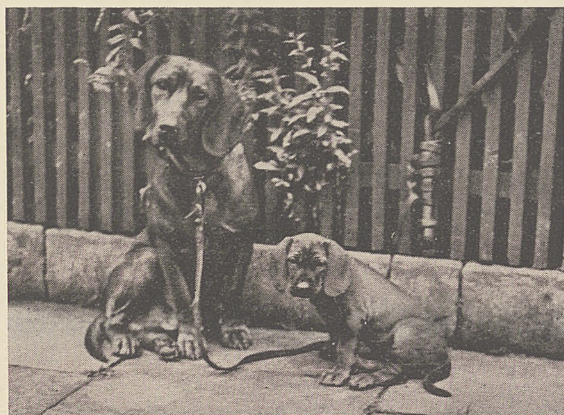
w stosunku 4 : 1. Później daje się nieco obfitsze porcje, ale tylko dwa razy dziennie, a od drugiego roku począwszy, podaje się psu karmę tylko raz na dobę. Po pół roku zamiast chleba razowego można do mleka dodawać sucharki psie (F-ma Hadroga — Bydgoszcz). Pokarm dla psa winien w zasadzie być zdrowy i dobry, jednakże nie wolno psa przyzwyczajać do łakoci (bułka z masłem, wędliny itp.). Trudno go będzie odzwyczaić od tego w kniei, kiedy często przez całą dobę będzie musiał się kontentować kawałkiem suchego chleba.

Błędnym zupełnie jest zamknięcie młodego psa przez cały dzień w kojcu. Kiedy, gdzie i w jakich warunkach będzie mógł rozwijać ścięgna i mięśnie? Młodemu psu należy zezwolić na wybieganie się w młodości. Bez otoku natomiast, nie wolno psu zejść z podwórza zwłaszcza wtedy, jeśli osada położona jest wśród lasu, gdzie łatwo spotkać się z jeleniami.

Naukę rozpoczyna się od wyrobienia u pieska apelu. Na zawołanie „do nogi“ winien pies natychmiast przybiec. Następnie przyzwyczaja się psa do zakładania obroży. Po zawołaniu „do nogi“ i przyjściu do swego Pana, pies na widok obroży winien siąść i pozwolić na jej założenie. Następnie rozpoczynają się krótkie przechadzki (pies na otoku) nasamprzód w pokoju, potem w otwartym polu, później po drogach leśnych, a przy końcu w drzewostanie starszym i dragowinie. Pies na otoku musi chodzić przy boku myśliwego, dotykając głową lewego kolana menera; skoro pies zamierza posunąć się zbytnio naprzód, wówczas przy jednoczesnym skróceniu otoku można psa lekko skarcić. Przy końcu nauki chodzenie na otoku, ćwiczenia te przeprowadzić w gąszczu i młodnikach, przy czym pies winien przyzwyczaić się do tego, by przejść pomiędzy tymi samymi krzewami, między którymi przechodził myśliwy.

Następnym etapem jest lekcja warowania. Nasamprzód może pies warować przy czapce, trąbce lub t. p. przy czym podczas pierwszych lekcyj wolno go uwiązać do drzewa. Później pies winien na komendę „pst“ wzgl. za podniesieniem ręki warować i czekać na powrót myśliwego, nie reagując na nic, co się koło niego dzieje.

Następnie uczyć trzeba psa, by na komendę „szukaj“ lub „naprzód“ szukał przed myśliwym i to z nosem przy ziemi. O ile pies wykazuje skłonności szukania górnym wiatrem, co u posokowców rzadko się zdarza — natenczas przeciąga się otok od spodu pomiedzy przednimi i tylnymi nogami psa. Pamiętać trzeba o tym, by otok nie był za krótki (conajmniej 6 — 8 mtr).



Fot. Herber

Posokowce hanowerskie
(ojciec i córka)

Podczas wszystkich tych wstępnych ćwiczeń trzeba zważać na to, by psa nie przemęczać. Lepiej, po niepowodzeniu przerwać lekcję i rozpocząć ją na nowo nazajutrz, aniżeli zniechęcać psa do roboty. Nieposłuszeństwa u psa oczywiście tolerować nie wolno; tłumić upór należy w zarodku.

Następnie trzeba psa przyzwyczajać do widoku i spokojnego zachowania się wobec zwierzyny.

Na zakończenie wstępnych wskazówek o początkach układania młodych posokowców pragnę zwrócić jeszcze uwagę na jeden bardzo ważny szczegół. Podczas gdy ćwiczenia wstępne przeprowadzać można bez względu na porę roku, to pracę psa na zdrowym zimnym tropie (pies w wieku i nauce zaawansowany) ćwiczyć wolno jedynie po wiosennym przefarbowaniu się zwierzyny płowej tj. od końca maja; w innym bowiem wypadku sierść jeleni wzgl. danieli otarta i wisząca na gałęziach skusi psa do podniesienia nosa i szukania górnym wiatrem, do czego w żaden sposób nie wolno dopuścić.

Z uwagi na to, że mioty wiosenne są zazwyczaj w maju, tresurę wstępną, opisaną powyżej, rozpoczynać można jesienią, kontynuować zimą i wczesną wiosną, a dopiero w czerwcu tj. w drugim roku życia posokowca, rozpocząć ćwiczenia i lekcje na zdrowym zimnym tropie.

O ćwiczeniach na zdrowym zimnym tropie oraz dalszym układaniu posokowców napiszę w swoim czasie.

Dr inż. Leon Ossowski

ORGANIZACJA POLOWAŃ LEŚNYCH NA DROBNĄ ZWIERZYNĘ

Tak z rozmów i dysput w gronie starszych doświadczonych myśliwych, których zawsze z najżywszym zainteresowaniem słucham, osiągając stąd niejedną korzyść i mnóstwo praktycznych wskazówek, jak i z własnego doświadczenia doszedłem do przekonania, że tylko dobrze prowadzone polowanie daje pełnię zadowolenia, rozkoszy myśliwskich i uroku. Dobrze prowadzone polowanie stwarza tę miłą atmosferę beztroski i spokoju, w której każdy tak dobrze się czuje i odpoczywa.

Bywając często na polowania w Praborzu, u p. Praborskiego, wytrawnego, zamiłowanego myśliwego i przyrodnika, rozkochanego całą swą duszą w lesie i myślistwie, nie tylko miło spędzałem czas w dobrze i wszechstronnie zagospodarowanej kniei, w towarzystwie znakomitych myśliwych, w tej dziwnie odrębnej, swoistej i czystej atmosferze serdeczności, jaką tylko w właściwy sobie sposób umiał roztaczać dookoła Praborski, lecz także naczyłem się dużo, mając możność zaobserwowania najlepszych według mnie sposobów prowadzenia polowań, z których jedno postaram się opisać.

Było to w zeszłorocznym sezonie zimowych polowań. Długo i niecierpliwie oczekiwana kartka zaproszeniowa na polowanie z wydrukowanym tekstem, gdzieniegdzie tylko uzupełnionym ręcznie, jak: data, miejsce i godzina zbiórki itp. z wymalowanymi brzozami, zającami, lisami, bażantami i dzikami — tak dobrze znana mi kartka z Praborza wreszcie nadeszła. Oznajmiła, że w dniu 8 stycznia odbędzie się polowanie na zające, lisy i króliki w rewirze „Sarny" nctwa Praborze, że zbiórka odbędzie się na szosie, na granicy lasu o godzinie 8,30, że przyjezdnych myśliwych oczekuje się dnia poprzedniego w domu gospodarzy. Estetycznie wyglądająca kartka, z tak miłym zaproszeniem uradowała mnie szczerze, obiecując — jak co roku — moc wrażeń i przeżyć.

* * *

Dzień był pogodny; lekki mróz szczypał w końce uszu, śnieg puszystą, kilkunastocentymetrową szatą okrywał ziemię blaskiem niezliczonych, migotliwych brylancików, lśniących w pełnym słońcu całą gamą barw tęczy, zmuszał do mrużenia oczu i dźwięcznie szeleścił pod kołami bryczki, zaprzężonej w parę rączych kozaczków, wesoło parskających na pomyślną wróżbę i szybko mknących szosą. Na miejsce zbiórki zajechaliśmy — jak to bywa w zwyczaju Praborskiego — punktualnie o 8,30. Wszyscy już byli zebrani. Leśniczy rewiru ustawił nagonkę w dwa szeregi i zdał raport Praborskiemu, po czym naganiacze, wziąwszy kołatki, ruszyli na miejsce gonu. Nastąpiło ogólne przywitanie. Następnie leśniczy odczytał przepisy obowiązujące na polowaniu, o których dużo myśliwych wogóle nie wie, albo nie pamięta i kary za przekroczenie tychże, następnie wziął w rękę plik planików polowania podając je myśliwym do wylosowania. Ostatni planik podał gospodarzowi, który uprzednio już ustaliwszy wszystkie kwestie, dotyczące polowania z leśniczym rewiru, zdał temuż prowadzenie łowów, sam uważając się za gościa. Baczył jednakże na każdy szczegół, korygując publicznie i natychmiast wszelkie uchybienie, czym uczył nie tylko leśników ale i gości. Na leśniczych swoich, starych wytrawnych borusach, którym umiał wszczepić część swego umiłowania przyrody i myślistwa, mógł polegać w zupełności. Nauczeni wieloletnim doświadczeniem i wskazówkami Praborskiego, prowadzili polowania bez zarzutu. Myśliwi powpisywali w planikach swoje nazwiska, gdzie obok nazwy terenu polowania, podany był numer powozu, którym myśliwi jeździli, oraz podane były numery stanowisk zmieniające się w każdym pędzeniu tak, że każdy miał równe szanse strzału, stojąc raz na jednym to drugim skrzydle względnie czole.

Mnie przypadł powóz numer 6 i w pierwszym pędzeniu 13 stanowisko na czole. Ledwo ustawił nas leśnik, a już odezwał się głos trąbki, dający znak rozpoczęcia pędzenia. Pędzono zagajnik. Cztery pierwsze rządki sosen były podkrzesane, co pozwalało lepiej mierzyć i ułatwiało strzał. Oprócz tego od każdego stanowiska w lewo i prawo w skos biegły metrowej szerokości, długie wizurki. Na stanowiskach były z gałęzi plecione, półkoliste kosze, opatrzone palikiem z numerem; kosze te zasłaniały myśliwego do pasa. Strzeliłem dwa szaraki. Nagonka już dochodziła i równo, jak jeden mąż wyszła na linię. Umiejętnie prowadzona przez uczniów leśnych i gajowych nie złamała nigdy linii, zachowywała zawsze równe odstępy między naganiaczami, przez co mniej zajęcy się cofało. Na głos trąbki oznajmiający zakończenie miotu, leśnicy prowadzący miot, podjechali do myśliwych, zapisali ilość ubitych przez każdego sztuk i rozstawili nas w następnym gonie, który natychmiast się zaczął. Nagonka bowiem zaraz po skończonym pędzeniu zachodziła na drugie o jeden oddział w lewo lub w prawo, rozstawiając się na przedłużeniu linii, na której poprzednio stało czoło. Nie dużo w ten sposób robiąc drogi, zdążyła zawsze uprzedzić myśliwych, po których rozstawieniu, na znak trąbki, natychmiast ruszała w miot. Gon następował więc bezpośrednio jeden po drugim i bez straty czasu. Ubitą zwierzynę gajowy zbierał na wóz, zapisując ilość w każdym miocie ubitych sztuk. Teraz pędzono starodrzew! Stałem na skrzydle. Pojazdy ukryły się za narożnikiem linii nagonki, gdzie były bezpieczne, stały nie daleko myśliwych i po skończonym pędzeniu mogły szybko podjeżdżać, gdyż w Praborzu nie obstawiano tyłów a skrzydła tylko w $^1/_3$ długości od czoła. Stanowiska były odległe od siebie o 60 do 80 metrów.

Około godziny pierwszej, żona leśniczego przywiozła do lasu w ogromnym kotle, owiniętym w siano, ciepły bigos i bańkę grzanego wina. Olbrzymi stos kłód płonął wesoło, trzaskając i sypiąc skry na otaczających i grzejących się myśliwych. Flinty zawiesiliśmy na gałęziach pobliskich drzew i każdy z talerzem i bułką lub chlebem w ręce, stojąc, milczkiem zajadał, gorliwie zabierając się po mniej lub więcej zasłużoną repetę. Uczeń tymczasem częstował tęgą miodówką. Nagonka po otrzymaniu kilku butelek wódki i papierosów zajadała własne prowianty przy osobnym ognisku.

Po nasyceniu pierwszego głodu rozwiązały się języki, dając folgę opowiadaniom, żartom i docinkom z pudeł sąsiadów. Śniadanie trwało pół godziny. Trąbka! — i nagonka ruszyła na miejsce miotu.

Polowanie zakończono około godziny szesnastej. Ubitą zwierzynę rozłożono na pokocie. Ogółem padło 146 zajęcy, 8 lisów i 40 królików. Nagonkę ustawiono w dwuszeregu, leśniczy zdaje Praborskiemu raport, odzywają się trąbki nad pokotem. Praborski dziękuje leśniczemu za prowadzenie polowania i zabiera wszystkich myśliwych do siebie na obiad i bridge'a.

Robi się już ciemno! Mrok coraz gęstszy, szybko i niespostrzeżenie wypełza cicho spod drzew, sączy się bezszelestnie przez szpilki i konary obejmując ziemię w swe posiadanie. Śnieg na drodze biały, w zagłębieniach kolejno niebieski, fioletowy i prawie czarny, skrzypi coraz dźwięczniej i metaliczniej. Mróz coraz tęższy, coraz silniej szczypie w nos, policzki i uszy. Konie spiesząc do ciepłej stajni i obroku, mkną zacienioną wstęgą szosy wśród śnieżnych pól, zalanych srebrzystą poświatą księżyca.

Daleko pod konturami wieży kościoła błyszczą



Fot. W. Chełmicki

„Castor“ w pięknym ataku na kota
(Konkurs wyżłów w Niedzwiedziu 1938)

światełka w chatach wiejskich. Ktoś nuci piosenkę. Myśliwi weseli i zadowoleni z udanego, dobrze prowadzonego polowania, gdzie każdy zawsze wie co robić, gdzie i jak stanąć, gdzie strzelać, gdzie nikt się nie denerwuje, nie gubi, nie pyta, nie spieszy, gdzie wszystko idzie sprawnie bez uchybień czy omyłek w atmosferze spokoju i porządku, gdzie każdy mimo napięcia nerwów i wzruszeń, wspaniale odpoczywa, jechali z radością w gościnne progi przemiłych państwa Praborskich, gdzie kończyło się polowanie.

Zbigniew Woszczyński (jun.)

POLOWANIE Z ... NAGONKĄ

Na gwarnej ulicy wielkiego miasta zderzam się z panem Stefanem. Wielki to myśliwy, ma własny mająteczek, wciąż chodzi w sportowym ubraniu, słonkowymi piórkami ma wytapetowaną wstążkę u kapelusza, z ust nie schodzą mu tematy myśliwskie...

Ho, ho... jakże mnie cieszy spotkanie z panem mecenasem — woła już z daleka. Miałem do pana właśnie dzwonić, bo to u mnie pojutrze wielkie polowanie z nagonką na zające i bażanty, a i lis trafić się może.

No wie pan — powiadam — nie jestem pewny czy będę mógł...

Żadne gadanie... musi pan być, bardzo proszę — bez pana nie urządzałbym nawet tego polowania!

Niechże więc będzie... A dużo będzie strzelb?

Liczę na co najmniej dziesięć. Konie o siódmej będą czekały pojutrze na stacji. Liczę na pana, a może przywiezie pan jakiegoś towarzysza?

Dobrze przyjadę i może postaram się o godnego kompana...

Ale koniecznie dobrego strzelca, bo zwierzyny mam moc!

Spróbuję — Darz Bór...

Cześć Łowcom...

* * *

Stop, Romku!... Dokąd tak dążysz?

A, witaj. Idę do Mędlewskiego zaopatrzyć się w naboje, bo to, widzisz — sezon na dobre się zaczął i trzeba się gdzieś ruszyć w pole.

To świetnie się składa. Możebyś wybrał się ze mną na polowanie?

Gdzie i kiedy?

A no pojutrze do Stefana na zające i bażanty z nagonką, będzie tam z dziesięć strzelb. Pojechalibyśmy koleją, wygodnie, blisko...

Wiesz co — ten cały Stefan mi się coś nie podoba... On za dużo wciąż opowiada o swych sukcesach i przeżyciach łowieckich. Niedawno mi mówił, że dla niego urok mają tylko potężne bory i bezkresne mszary, kędy łosie, dziki, rysie, pardwy mają swoje królowanie. Kto wie, czy u niego te bażanty i zające będą?

Ale, co ty też pleciesz!... Taki myśliwy — długoletni członek organizacji, łowisko swe musi mieć w wzorowym porządku. Jedziemy!...

Niechaj będzie, — zgoda.

* * *

O siódmej stacja kolejowa pełna jeszcze mroku i wilgotnego chłodu. Pusto, zimno, kilku przyjezdnych wsiąkło w nieznanej dali. Koni Stefanowych ni śladu!... Kręcimy się bezradnie na podjeździe. Jakiś mleczarz ładujący bańki informuje nas: niedaleko, będzie z 5 km i wskazuje drogę...

Romek powiada, że lepiej iść niż tu czekać. Więc maszerujemy, klnąc w duchu staropolską akuratność... żeby tego już inaczej nie nazywać... Byliśmy już niedaleko celu, gdy nadjechały te konie. „A bo pon pedzioł, że na ósmą". Dla miłej zgody i gwoli nie rozpoczynania od dysonansów, siadamy i tak przebywając ten ostatni kilometr, zajeżdżamy na miejsce.

W domu robi się ruch i rwetes. Pan Stefan w półnegliżu wyskakuje i wita miłych gości. Mówi, że zaraz będzie gotowy! Już jest dobrze po ósmej. Hej! — krzyczy — buty, śniadanie!... Znika we wnętrzu domu, zostawiając nas w pokoju obficie przybranym różną tandetą trofealną. Z braku na razie lepszego zajęcia oglądamy to muzeum licznych kości.... Kilka wieńców jelenich, dużo sarnich rożków — przeważnie zrzuty, nieznane z czasu i pochodzenia, kolekcja szabel dziczych — wreszcie oleodruki i obrazy scen myśliwskich. W kącie oszklona szafka z bronią, wśród której nie dostrzegamy porządnej dubeltówki. Książki albo czasopisma łowieckiego ani na lekarstwo nigdzie. Pan Stefan nie czytuje też i prasy myśliwskiej, bo — powiada — jakoś tak schodzi i nie ma czasu zaprenumerować...

Psiakrew — przerywa ciszę Romek.

Rad nie rad — potwierdzam — czując, że mnie gorycz zalewa.

* * *

Gromadzą się zaproszeni goście. Śniadanie. Gość w dom, wódka na stół. Robi się gwarno, gorąco, wesoło... Słyszę wyraźnie, jak pan Stefan mówi w holu: Lećcie mi Tomaszu zaraz na wieś i zbierzcie ze dwudziestu chłopców do nagonki, ale migiem... Romek przeciera okulary widząc, że łapię z determinacją za kielich żytniówki... Jest bardzo miło, krążą opowieści i łgarstwa myśliwskie, atmosfera staje się wielce rozlewną... Nikt z gości nie przywiózł psa, więc pytam, panie Stefanie, wyżła jakiego pan posiada? Miałem, miałem, kochany mecenasie, ale jak trzy lata temu poszedł jucha gdzieś na wesele, tak i przepadł bez śladu! Cóż to był za wspaniały i mądry gryfon, do dziś go nie mogę odżałować, a bardzo by mi się pies przydał...

Więc pijemy zdrowie nieboszczyka psa i osieroconego pana gospodarza... Tymczasem mija godzina dziesiąta, — czuję, że jestem zalany...

* * *

Wstaje w pewnym momencie rozochocony pan Stefan i mówi: Ej, — wiecie panowie — dziś ta pogoda coś nie bardzo pewna, może byśmy tak całe to polowanie odłożyli?... Stwierdzam, że niektórym propozycja ta nawet do gustu przypada, ale kilku z nas porwało się energicznie.

Wychodzimy, jest godzina jedenasta z okładem. Pan Stefan nie może się doszukać naboi, prawy zamek w dubeltówce ma popsuty, powiada, że z pojedynki lepiej się strzela! Przy bramie garstka naganiaczy z Tomaszem na czele. Stajemy u rozstaju dróg. „No, jak teraz pójdziemy"? zapytuje mnie czerwony pan Stefan. Czuję wyraźnie, że coś się we mnie rozrywa w kawałki...!

Bierzemy pierwszy kociołek. Zająca ani śladu, o bażancie i mowy nie ma. To samo zupełnie identycznie dzieje się w kociołku drugim i trzecim! ! Psiakrew — powiada pan Stefan — gdzież ta zwierzyna mogła się podziać?... Wobec tego idziemy ławą. Korzystam z bliskości wodza nagonki i zagaduję: Tomaszu, jest tu u was jaka zwierzyna, czy nie? Jest, wielmożny panie, jest; panicze Jur i Jul i ich koledzy codziennie wracają z kilkoma bażantami i zającami!... Pod wieczór nabił się na rozciągniętą tyralierę jakiś samobójca. Zrobiła się wielka sensacja wśród zmęczonej i na śmierć zanudzonej drużyny myśliwskiej. Ze zwłokami jednego zająca wracamy do domu. Kilka ubitych wron i gawronów oraz sójka jedna — pozostało w polu...

Jest mi już wszystko jedno. Wlokę się zupełnie znieczulony...

W dodatku podchodzi zły jak bazyliszek Romek i powiada: Dobrze ci tak, a mówiłem ci, że „man kann singen, man kann tanzen..." resztę sobie dośpiewaj!... Ale jedno mi powiedz, na co jemu właściwie ten pies jest taki potrzebny?...

Aby mu i podobnym... myśliwym z przeproszeniem mordę lizał, mruknąłem rozjuszony do ostatnich granic.

* * *

Wiem, że kto zna nasze stosunki łowieckie — nie powie, że opisana historia jest wyssana z palca. Chcąc być dobrym rzemieślnikiem, rolnikiem, sędzią czy lekarzem i zdobyć prawo pracy w tym zakresie, trzeba się uczyć, przejść odpowiednią szkołę i uzyskać dyplom, stwierdzający przyswojenie przez danego adepta potrzebnych wiadomości. W dzisiejszych warunkach łowiectwo nie zamyka się w orbicie kwestyj tylko ideowych czy etycznych, lecz wyrosło do znaczenia wiedzy, obejmującej kompleks wielu trudnych zagadnień. Choć nie jestem zwolennikiem etatystycznych przymusów, uważam za słuszne jednak i konieczne dążenie do stworzenia przemyślanych form przysposobienia łowieckiego. Bez tego bowiem trudno myśleć o postępie wiedzy i etyki oraz racjonalności w gospodarce łowieckiej, decydującej o rozwoju tej części majątku narodowego, którą stanowi zespół rodzimej zwierzyny łownej.

I jeszcze jedno... Wiedzę i zrozumienie etyki łowieckiej, możemy przyswoić sobie od drugich, przez odpowiednią lekturę, studiowanie dzieł naukowych, przyrodniczych i myśliwskich, przez pilne czytanie prasy łowieckiej. Przyzwoitości nauczyć się musimy sami!...

Inż. dr Jan Podgórny

DZIWER

z cyklu: „Lufy broni śrutowej".

Starania fabrykantów śrutowej broni myśliwskiej miały na celu nadanie materiałom, z których były wyrabiane lufy, jak największej sprężystości ze względu na opór, jaki musiały stawiać potężnej prężności gazów, wytwarzanych wskutek spalania się naboju prochu. Dlatego też materiał służący do wyrobu luf dobrego względnie najlepszego gatunku, był kombinacją miękkiego żelaza i stali ściśle z sobą spawanych a właściwie mówiąc — skutych w postaci spiralnie zwiniętej wstęgi o rozmaitym deseniu. Wynalazek ten przypisują płatnerzom z Damaszku i dlatego tak spojone żelazo ze stalą nazywało się u Francuzów „Damas" u Niemców „Damast", natomiast u nas utarła się nazwa „Dziwer", która pierwotnie brzmiała „Dźwir", jako pochodząca od słowa „dźwirować", co oznaczało w dawnym określeniu technicznym — skuwać.

Cały przebieg fabrykacji luf śrutowych z takiego surowego materiału, na który składały się pręty żelazne i druty stalowe, zasadzał się na wielokrotnie powtarzanym przekuwaniu pod potężnym młotem parowym, a potem na wyciąganiu metalu na wstęgi lub druty grubości 1,5 cm. Wstęgi te ze względu na obniżenie kosztów wyrobu u niektórych fabrykantów miały mniejszą grubość, lecz wtedy stanowiły lufy znacznie gorszego gatunku. Tego rodzaju wstęgi rozgrzane do czerwoności w ogniu, zwijano spiralnie dokoła tak zwanej „koszulki" z żelaznej blachy, która następnie zupełnie znikała przy dalszym wierceniu i polerowaniu wnętrza luf. Zwinięte w taki sposób lufy miały postać śruby o tak krótkim skoku, że zwoje jej omal się stykały ze sobą. W takim stanie lufy szły pod działanie młotów, powtarzające się kilkakrotnie przy coraz słabszym za każdym razem nagrzewaniu, aż ostatecznie odkuwano je zupełnie na zimno. Tym jedynie sposobem można było dawniej nadawać metalowi pożądaną spoistość i sprężystość oraz usuwać wszelkie pęcherzyki i szparki, słowem wszelkiego rodzaju niedokładności i braki.

Potem następowało pierwsze wiercenie luf, usuwające gruntownie wyżej wspomnianą koszulkę żelazną i przygotowujące z grubsza obrobione lufy do dalszych z nimi czynności, z których pierwszą było zewnętrzne obtoczenie luf, ułożenie ich z dokładnością matematyczną równolegle obok siebie. a wreszcie zlutowanie ich wraz z górną i dolną szyną, tudzież hakami. Czynność ta wymagała wielkiej dokładności i staranności. Dawniejsze pierwszorzędne fabryki broni myśliwskiej jak Le Page w Paryżu, Leopold Bernard, W. W. Greener, Carron Verney, do lutowania luf używały cyny lub też tombaku, natomiast belgijskie stopu miedzi czyli tzw. „szlaglotu". To ostatnie nie było dobre, gdyż punkt topliwości miedzi wymaga, jak wiemy, wysokiej temperatury, dochodzącej do +788° C. Przy takim rozgrzaniu luf niweczyło się całą korzyść otrzymaną przez kucie na zimno, zarówno pod względem sprężystości jak i wytrzymałości luf.

Tak przygotowane lufy poddawano ostatecznemu wierceniu w celu doprowadzenia ich do żądanego kalibru. Dalej następowało próbowanie ich, polegające na strzelaniu z nich zwiększonym do maximum nabojem prochu i śrutu. Próba ta nosiła nazwę „próby wytrzymałości" i oznaczona była specjalnymi stemplami na spodzie luf po obydwu stronach haków. Dzisiejsza procedura jest trochę inna pod względem technicznym i pomówimy o tym innym razem.

Tak się przedstawia w zarysie dawniejszy sposób wyrobu pięknych i doskonałych luf dziwerowych, dziś już przechodzący do historii.

W zależności od posiadanego deseniu czyli wzoru, lufy dziwerowe dzielą się zasadniczo na dwie grupy: dziwer wstążkowy i dziwer bukietowy. Do pierwszej grupy należą lufy tańsze, a co za tym idzie, gatunkowo gorsze; do drugiej grupy lufy droższe, a więc jakościowo lepsze.

Najprostszym i najprymitywniejszym przedstawicielem dziweru wstążkowego był angielski „Scelp", który odznaczał się tym, że na ciemniejszym tle luf (żelazo) posiadał poprzeczne spiralne, jaśniejsze od tła, cienkie i nikłe smużki jak gdyby dymu papierosowego (stal). Był to najgorszy gatunek dziweru, dziś już prawie nigdzie nie spotykany, który zawierał w swym wzorze zaledwie 40% stali. Lepszym znacznie od niego był angielski dziwer tzw. „Lodowaty", ponieważ jego wzór przypominał desenie mrozu, powstałe na szybkach; poza tym zupełnie wyraźnie występowały dwucentymetrowej szerokości spiralne zwoje taśmy metalu. Trzecim z rzędu był dziwer belgijski zwany „Ruban". Ten wstążkowy dziwer był lepszy od „Lodowatego", gdyż zawierał około 60% stali, gdy tymczasem ostatni tylko 50%. W swym wzorze (deseniu) posiadał dobrze widoczne spiralne zwoje taśmy, skutego metalu 1,5 cm szerokości i jaśniejszego koloru od tła powierzchni luf 1 mm grubości stalowe druty o uzwojeniu równomiernie jak gdyby poprzecinane nożycami. Wreszcie czwarty — najlepszy z wstążkowych dziwerów — był francuski dziwer „Ruban de fil" — świetnie imitowany przez Belgów i Rosjan a u nas w Polsce szeroko znany pod nazwą „drutowego" (stąd dubeltówki noszące nazwę „drutówek"). Robił wrażenie, jak gdyby lufy były dosłownie skręcone z samego drutu stalowego. Spiralne uzwojenia taśmy skutego metalu dla oka niewprawnego wcale nie były widoczne; uzwojenia samej nici drucianej 0,5 mm grubości nigdzie nie były przerywane. Lufy tego rodzaju zawierały od 65 do 75% czystej stali i od 25 do 35% miękkiego żelaza; najczęściej na górnej szynie posiadały prócz firmy jeszcze złoty napis „Damas Anglais Fin", jakkolwiek dziwer ten nigdy nie był angielskim fabrykatem. Ten rodzaj wstążkowego dziweru należał do wyrobów

w całym tego słowa znaczeniu dobrych. Francuski dziwer „Ruban de fil", jak wyżej wspomniałem, starali się imitować Belgowie i Rosjanie, jednak imitacja ta była tylko zwykłym filsyfikatem, który polegał na wytrawieniu wzoru za pomocą kwasu azotowego na zwykłych żelaznych lufach, co zresztą dla fachowców wcale nie było trudnym do wykrycia przy użyciu odczynnika w postaci roztworu soli szczawikowej na dowolnym miejscu gładko spolerowanych luf.

* * *

Dziwer drugiej grupy tj. „bukietowy" odznaczał się więcej lub mniej skomplikowanym deseniem, ponieważ druty stalowe użyte do jego wyrobu bywały uprzednio splatane ze sobą w rodzaju bardzo długich warkoczyków po 5 do 8 w rzędzie z pętelkami w odstępach 10 cm lub też — w rodzaju łańcuszków o ogniwkach owalnych wzgl. skręcanych na kształt ósemek itp. Zależnie od wielokrotności powtarzanego przekuwania materiału wytwarzały się symetrycznie leżące wzory, posiadające kształty jak gdyby słojowanych bukiecików srebrzystego koloru na ciemniejszym tle żelaza, które uwydatniło się zwłaszcza między bukiecikami, w postaci mniejszych lub większych czwororamiennych gwiazdeczek.

Z dziwerów bukietowych najwięcej bodaj znanym był belgijski pn. „Różany", dalej idzie jeszcze lepszy, również belgijski, stosowany do strzelb tylko wysokiego gatunku pn. „Boston"; podobny do niego francuski dziwer tzw. „Etoilé" tj. „gwiaździsty" u Belgów zwany „Stella Damas I.a"; obydwa te dziwery są doskonałe, ale „Bostonowi" ustępują co do jakości i nawet piękności desenia. Następnie mamy świetny angielski dziwer pn. „Crollé" o bardzo subtelnym i drobnym rysunku i wreszcie niezrównany „łańcuszkowy" bernardowski. Bezsprzecznie najlepszymi dziwerami były paryskie fimy Leopolda Bernarda i birminghamskie W. W. Greenera.

* * *

Wszystkie bez wyjątku dziwery bukietowe zawierały w sobie 80% czystej stali i 20% miękkiego żelaza. Lufy dziwerowe najczęściej były brunirowane na kolor brązowy lub ciemno-popielaty o ile zewnętrzna ich powierzchnia była gładko polerowana. Wtedy na ciemniejszym tle żelaza uwydatniał się jaśniejszym odcieniem deseń dziweru. O ile natomiast dostarczano lufy niebrunirowane, to deseń uwypuklano za pomocą trawienia tła żelaznego witriolem i oczyszczaniem go stalowymi szczotkami; deseń wtedy nabierał srebrzystego połysku na matowo-szarym tle żelaza. Sposób ten nazywano „tureckim brunirowaniem" a nie, jak sądzili mylnie laicy — „tureckim damaskiem", bowiem turecki dziwer oryginalny nigdy u nas w Europie do wyrobu luf śrutowych nie był stosowany, ponieważ Turcy nie wyrabiali go w taśmach a tylko w tzw. „chlebkach" lub „bochenkach" (bryłki w formie i wielkości 1-funtowego bochenka chleba). Srebrnego dziweru, o którym tak chętnie wspominają nasi dziadkowie, nigdy na świecie nie było, gdyż srebra do wyrobu dziweru nigdzie nie używano; była natomiast przez W. W. Greenera równocześnie z dziwerem wyrabiane „srebrna płytowa stal" na lufy śrutowe o czym jeszcze napiszę... Tymczasem ograniczę się do nadmienienia, że lufy dziwerowe zwłaszcza bukietowe, były doskonałe i do naszych bezdymnych prochów świetnie by się nadawały, chociaż laicy uporczywie co innego twierdzą; tylko niestety ich wyrób na dzisiejsze czasy jest za drogi i zbytnio skomplikowany. Wszakże taki autorytet jakim był W. W. Greener w swojej książce „The Gun and its Development" niezbicie stwierdza, że dobre dziwerowe lufy są stanowczo lepsze od luf stalowych, ponieważ wytrzymują znacznie lepiej ciśnienie gazów prochowych: tam gdzie lufy stalowe tegoż samego kalibru i tej samej wagi co lufy bukietowego dziweru przy 37,61 gr (21,25 drams'ów*) prochu strzelniczego dymnego podczas próby wytrzymałości bezwarunkowo pękną, lufy dziwerowe swobodnie wytrzymają nawet 40,71 gr (23 dramsów) tegoż prochu.

Albin Ziemięcki, major W. P.

* 1 dram = 1,77 grama.

Z POLA I KNIEI

Tegoroczne rykowisko w Województwie Poznańskim. Rykowisko to czas wielkiego święta myśliwskiego, którego rozpamiętywanie, a powiedzmy też zrobienie zeń rachunku sumienia jest obowiązkiem prawego myśliwego. Niech uczyni to i ten Myśliwy przez wielkie M.

Pierwszą rzeczą, o której wspomnieć należy to pogoda. Trzeba sobie powiedzieć, że nie była ona rykowiskową. Z początkiem września silne ulewy, potem pewne ochłodzenie, częste deszcze. Następnie wypogodzenie koło 9 i lekkie ocieplenie, zaś od 13 do 17 piękne, chłodne dni a nad ranem szron. Od 18 coraz cieplej i piękniej, 28 nawet upał dochodzący do 30° C.

Mimo takiej pogody zupełnie nie rykowiskowej, jelenie zaczęły niebywale wcześnie ryczeć. W wielu rewirach ryczały już wcale dobrze między 5 a 9 września. W południowych stronach województwa najlepsze natężenie rykowiska wypadło na czas między 12 a 18. Po nienaturalnie wczesnym początku następowały przerwy, co jest zrozumiałe gdy się weźmie pod uwagę ciepłą nawet nocą pogodę. Rykowisko nasiliło się ponownie koło 24 do 25, a przeważnie około 6 do 7 października ustało. Ogólnie nie da się określić jakie było rykowisko; o ile w pewnych lasach było może intensywniejsze niż w ubiegłym roku, to znowu w innych okolicach skarżono się i to słusznie na nieszczególne natężenie. Odchylenia od dawniejszych rykowisk tłumaczę sobie nie tylko warunkami atmosferycznymi, ale także tym, że w wielu lasach a specjalnie państwowych, prze-

prowadza się z powodu nadmiernych szkód dość intensywny odstrzał byków i łań. Takie zaś ilościowe zmiany w stanie jeleni zawsze przynoszą i zmiany w natężeniu rykowiska.



Piękny jeleń (14-tak)
ubity w Jaktorowie (pow. chodzieski)

O ile chodzi zaś o trofea, to można powiedzieć, że bilans ich nie przedstawia się zanadto różowo. Prawdziwie kapitalnych trofeów prawdę mówiąc może i zupełnie nie było. Dobrych łownych bardzo mało, tu i owdzie się tylko trafiały, reszta to bardzo przeciętne a może nawet grubo poniżej tego. Uderzało tylko to, że wybijała się dodatnio piękna czarna barwa wieńców i dobre uperlenie, ale natomiast biel końców odnóg pozostawiała do życzenia. Grubość tyk nieszczególna, waga wieńców przeciętna a u niektórych starszych roczników nawet niska.

Tyle rozpamiętywania. Co się zaś tyczy rachunku sumienia myśliwskiego to trzeba niestety stwierdzić, przeglądając większe ilości wieńców, że pod względem odstrzału wiele nagrzeszono. Padło bardzo dużo byków, które może dopiero za parę lat mogłyby pretendować do określenia honorowego — łowny byk. Czy grała przy takich odstrzałach dążność do zmniejszenia pogłowia z powodu szkód leśnych i polnych, czy nieumiejętność w rozpoznawaniu, czy też tylko gorączka łowiecka, w to wchodzić nie będę, niech każdy sam rozważy to w swoim sumieniu myśliwskim Powiedzieć atoli trzeba, że taki odstrzał nie wychodzi na dobre naszej najszlachetniejszej zwierzynie a nam myśliwym także nie pomoże. *S. M.*

Rykowisko na Pomorzu w 1938 r. Rykowisko na Pomorzu było w bieżącym sezonie dość dobre. Rozpoczęło się już w pierwszej dekadzie września i trwało bez przerwy do połowy października. Pogoda była dobra. Noce jednakże były niezbyt chłodne.

Ciekawy objaw zaobserwował jeden z myśliwych w łowisku Leśna Huta, gdzie po południu za parę lat mogłyby pretendować do określenia horyczały.

Padło kilkanaście dobrych jeleni i tak w Nadleśnictwie Ruda wspaniały dwunastak (ubił Wojewoda Raczkiewicz), w nadleśnictwie Chociński Młyn czternastak (ubił dr J. Łukowicz z Chojnic), w nadleśnictwie Przymuszewo padł dobry szesnastak (p. fot. w nrze X/38). Również dobrego jelenia ubił łowczy p. L. Mieczkowski.

Myśliwy z Pomorza



12-tak ubity w bieżącym sezonie
w nadleśnictwie Chociński Młyn na Pomorzu
(ok. 180 p. Nadlera)

Z ŻYCIA MYŚLIWSKIEGO

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO. Sąd Konkursowy, powołany do osądzenia prac nadesłanych na konkurs na temat: „Zadania i cele łowiectwa polskiego oraz drogi jego rozwoju“, zebrał się w dniu 7 bm. pod przewodnictwem Przewodniczącego Komisji Propagandowej P. Józefa Skrzypka, w mieszkaniu P. Red. Krzywoszewskiego

Po stwierdzeniu, że na konkurs nadesłano 9 prac, i że członkowie jury przeczytali wszystkie prace, nadesłane na konkurs, postanowiono, wobec niewielkiej ilości tych prac, nagrodę piątą skasować, natomiast nagrodę czwartą powiększyć do zł 150.

Większością głosów Sąd Konkursowy uznał za najlepszą z prac konkursowych, wymagającą jednak znacznych skrótów i pewnych uzupełnień, pracę pod godłem „Podlasie“ i przyznał jej nagrodę pierwszą w kwocie zł 300. Autorem pracy okazał się P. Władysław hr. Zabiełło z Warszawy.

Drugą nagrodę — zł 200, przyznano pracy pod godłem „Kosomak“. Autor — Inż. dr Jan Podgórny z Katowic.

Trzecią nagrodę — zł 150, przyznano pracy pod godłem „Darz Bór“. Autor — P. Wacław Podhorski z Wołynia.

Czwartą nagrodę — zł 150, przyznano pracy pod godłem „Horned Owl“. Autor — P. Sędzia Walenty Garczyński z Warszawy.

Ponadto postanowiono zakupić pracę pod godłem „Ikar“, P. Władysława Gürtlera z Rzeszowa w drodze porozumienia się Przewodniczącego Komisji P. J. Skrzypka z autorem.

Członkowie Sądu Konkursowego: Stefan Krzywoszewski, Józef Skrzypek, Tadeusz Śliwiński, Stanisław Prus-Wiśniewski, Józef Gieysztor.

SPRAWOZDANIE Z PRÓBY POLOWEJ WYŻŁÓW DOWODNYCH URZĄDZONEJ PRZEZ „ZWIĄZEK HODOWCÓW WYŻŁA SZORSTKOWŁOSEGO“ W POZNANIU — SEKCJA KYNOLOGICZNA W. Z. M. Próby polowe odbyły się dnia 5 IX 1938 w majątku Roszkowo pow. wągrowieckiego. Pogoda w tym roku nie sprzyjała. W nocy poprzedzającej próby, spadł obfity deszcz, a sytuację pogarszał drobny kapuśniak, który w dzień konkursu parę razy rozpoczynał siać; z tego powodu wyżły nie mogły wykazać pełni swej wartości.

Teren, na którym się próby odbywały, jest wymarzonym łowiskiem, mogącym dać schronienie rozmaitej zwierzynie. Spory las, mnóstwo zagajników przeplatanych polami, łąkami i małymi jeziorkami, predestynuje go do tego, że z czasem może się stać rajem dla zwierzyny.

Zebranych gości, menerów i delegatów wągrowieckiego Koła Myśliwych powitał prezes Sekcji Kynologicznej W. Z. M. p. Jan Kurnatowski. Z zgłoszonych 12 wyżłów stawiło się do konkursu 8, prawie wszystkie młode, — niektóre nawet do prób dowodnych za młode.

Komisja sędziowska w składzie prezesa Sekcji Kynologicznej J. Kurnatowskiego, N. Dutkiewicza, sekretarza Sekcji Kynologicznej Al. Gaponowa w asyście Al. Zellobera jako najlepsze wyżły uznała: 1. „Hero z Boreczka“, 2. „Astora z Bukowca“ oraz 3. „Dinę v. Bruchhof“. Oprócz tych 3 wyżłów nagrodzonych, które zajęły 3 pierwsze miejsca, wyróżnić należy „Katię z Wąsowa“ i „Argo z Bukowca“. Jednak zbyt mała ilość zdobytych punktów nie pozwoliła im zająć odpowiedniego miejsca.

Inne psy to jeszcze niegotowe młode wyżły, wśród których wyróżniła się „Aza z nad Czarnego Jeziora“, zajmując w punktacji czwarte miejsce.

Wyniki według punktacji — maksymalna ilość punktów 188 — przedstawiają się następująco:

1. miejsce — „Hero z Boreczka“ urodzony 27 III 1936 syn „Magdy“ ks. rod. nr 1, i „Asa“ ks. rod. nr 3, osiągnął 174 punkty. Wyżeł ten jest bardzo dobrze zbudowany, nakrapiany w brązowe łaty, z dobrym nosem i dobrymi chodami, ładnie wystawia i dobrze aportuje, cięty na drapieżniki, w wodzie czuje się jak w swoim żywiole. Mener leśniczy p. Kaatz otrzymał nagrodę w wysokości zł 50,—.

2. miejsce zajął „Astor z Bukowca“ — wyżeł mocny i dobrze zbudowany, urodzony 11 XI 1936 ks. rod. 27/38 osiągnął 167 p. Wybitny ten wyżeł, mający krew po „Ingo z nad Gopła“, mógłby zająć pierwsze miejsce, żeby nie zawiódł w ciętości, ponieważ kota nie zadławił lecz tylko osadził. Winę ponosi mener, ponieważ jak było widać, wyżeł od dłuższego czasu nie miał możności dławienia kota. W polu jak i w wodzie „Astor“ okazał się bardzo dobrym. Mener leśn. L. Pieprzyk otrzymał jako nagrodę zł 50,—.

3. miejsce i nagrodę zł 30,— uzyskała „Dina“ urodzona 21 III 1936 ks. rod. nr 22/38, brązowa wyżlica importowana szczeniakiem z Niemiec. Osiągnęła 160 punktów, prowadził leśniczy B. Poczta.

4. miejsce zajęła przy 163 punktach „Aza z nad Czarnego Jeziora“ urodzona 27 VII 1937 po „Sencie“ ks. rod. nr 18/36 i „Tropie“ ks. rod. nr 16/37 — dobrze zbudowana, posiada dużo temperamentu, bardzo dobrze szuka, robi dobre stójki, może być na przyszły rok wybitnym wyżłem dowodnym. Komisja Sędziowska dla zachęty przyznała jej nagrodę w sumie zł 20,—. Prowadził leśn. Fr. Ciupiński.

5. miejsce przy 130 punktach zajął „Argo z Bukowca“ urodzony 11 XI 1936 po „Katii“ ks. rod. nr 9/36 i „Lordzie z Bukowca“, maści popielato-brązowej, sumienny pracownik i może osiągnąłby wyższą punktację, żeby nie fatalna pogoda, która wpłynęła ujemnie na wyniki. Jako nagrodę pocieszenia mener leśn. B. Poczta otrzymał zł 10,—.

6. miejsce zajęła „Katia z Gąsowa“ ks. rod. 9/36 uzyskując 115 punktów. Wyżlica ta jest bezwarunkowo lepszą niż jak na to wskazuje wynik, bo w niektórych konkurencjach straciła wielką ilość punktów. Jako nagrodę pocieszenia otrzymał mener zł 10,—.

7. miejsce zajął „Czang“ — brązowy wyżeł, urodz. 30 IX 1937. Uzyskał 91 punktów. Wyżeł jest jeszcze zupełnie niegotowy do konkursu i oprócz tego nie wyróżnia się żadnymi specjalnymi walorami; w przyszłości może być sumiennym robotnikiem i dobrym tropowcem. Mener leśn. Bańka otrzymał zł 10,— jako zwrot kosztów podróży.

8. miejsce zajęła wyżlica „Erna“ urodz. 30 VII 1937 uzyskując 90 punktów. Wyżlica ta jest jeszcze niegotowa do próby wyżłów dowodnych. Mener będzie miał z nią jeszcze dużo pracy tym bardziej, że wyżlica ta nie wykazuje pasji do wody, z tego powodu jest wątpliwym, czy w przyszłości będzie dobrze pracowała w wodzie. Mener p. M. Siudzik otrzymał zł 10,— jako zwrot kosztów podróży.

Wszystkie nagrody, którymi dysponowała Komisja Sędziowska, zaofiarował Wielkopolski Związek Myśliwych.

Na tym miejscu pozwalamy sobie podziękować właśc. majątku Roszkowo p. drowi Cz. Dziembowskiemu za udzielenie terenu do popisów konkursowych naszych wychowanków.

A. Gaponow

WAŻNE DLA MYŚLIWYCH, CZŁONKÓW P. Z. Ł., ZAMIERZAJĄCYCH NABYĆ MUNDUR ŁOWIECKI. Celem ułatwienia członkom P. Z. Ł. znalezienia źródeł nabycia materiału oraz przyborów do przepisowego munduru łowieckiego podaje się do wiadomości źródła nabycia tych akcesoriów.

Materiał mundurowy „Zakłady Roln. Przemysłowe — Leszczków (Oddział w Poznaniu, ul. 27 Grudnia nr 10, w Bydgoszczy, ul. Gdańska 20a, w Katowicach, ul. Pocztowa 1), cena zł 29,— za metr. Do munduru trzeba w zależności od wzrostu 2,70 do 3,00 m.

Ciemnozieloną lamę do wyłogów, lampasów i rękawów dostarcza również Leszczków po cenie zł 24,— za m. Komplet zł 6,60.

Kapelusze typu góralskiego posiada firma Tomasek, Poznań, ul. Pocztowa 9.

Kordelasy wykonywać będzie Warszawska Spółka Myśliwska (Oddziały Prowincjonalne).

Hafty sporządzi wszędzie hafciarka na podstawie wzoru, który w swoim czasie podano w Łowcu Polskim.

Odnośnie nakrycia (peleryny), to sporządzi takową każdy krawiec z materiału wojskowego, farbowanego na kolor ciemno-zielony.

KOMUNIKATY

Niniejszym podajemy członkom do wiadomości, że w czwartek dnia 3 listopada 1938 r. święcić będziemy naszego patrona św. Huberta. W celu uczczenia tego święta łowieckiego zwołuje Zarząd w dniu tym Uroczyste Zebranie Miesięczne na godz. 20 do lokalu p. Cibora — Piwnica Ratuszowa — St. Rynek. Na porządku obrad: referat podróżnika dookoła świata pana Ryszarda Voelpela, który opowie swe wrażenia z pobytu w Stanach Zjednoczonych A. P. oraz o Japonii i Wyspach Hawajskich. Poza tym odbędzie się losowania nagród. Po zebraniu odbędzie się skromny wieczorek myśliwski z wspólną kolacją. Spodziewamy się, że w dniu tym nie zabraknie nikogo pod zielonym sztandarem myśliwych. *Wielkopolskie Stowarzyszenie Myśliwskie*

„DAWNA POLSKA GRAFIKA MYŚLIWSKA". Pod powyższym tytułem Muzeum Wielkopolskie w Poznaniu przygotowało wystawę, której otwarcie nastąpi w sobotę, dnia 5 listopada, o godz. 12 w sali graficznej Muzeum Wielkopolskiego. Mimo wielkich trudności, jakie nastręcza tego rodzaju pokaz, udało się zebrać sporo materiału w postaci rysunków i rycin o tematach myśliwskich, ilustracyj z książek i czasopism oraz kart tytułowych dzieł o łowiectwie i zwierzętach. Zbytecznym wydaje się nam dodać, że pośród tych rycin znajdują się dzieła graficzne bardzo rzadkie i drogocenne, wiadomo bowiem, że polskie łowiectwo minionych wieków nie zostawiło nam niestety prawie nic, co możnaby było nazwać „dorobkiem graficznym" polskiego łowiectwa. Smutne to zjawisko, a tym smutniejsze, że również z okresu pięknego rozwoju malarstwa polskiego, z wieku dziewiętnastego, nie dużo prac graficznych o tematach myśliwskich pochodzi z rąk polskich artystów. „Grafika myśliwska" tego okresu, to niestety tylko drzeworyty, wykonane według obrazów Suchodolskiego, Brzozowskiego, Andriolli'ego, Brandta, Kossaka, Chełmońskiego, Fałata i innych przez warszawskich ksylografów, jako ilustracje do czasopism periodycznych i broszur myśliwskich. — Czyżby nie czas, by odrobić to, co zaniedbaliśmy w okresie niewoli — by wejść na właściwą drogę? Miejmy nadzieję, że obecna wystawa w Muzeum Wielkopolskim przemówi niemniej silnie do sumienia przedstawicieli świata myśliwskiego niż to uczyniła poprzednia wystawa, urządzona na wiosnę tegoż roku w tym właśnie celu.

Dr A. B.

PP. MYŚLIWI!

Przypominamy Szanownym Abonentom, że najwyższy czas zapłacić prenumeratę za IV kwartał 1938 roku, oraz uregulować ewentualne zaległości.

Administracja

PIERWSZY KONKURS FOTOGRAFICZNY „MYŚLIWEGO"

Wydawnictwo »Myśliwego« przedłuża termin nadsyłania fotografii na konkurs ogłoszony w numerze 5 »Myśliwego« do dnia 20 stycznia 1939 r.

Wydawnictwo „Myśliwego"

SKRZYNKA ŁOWIECKA

27. Posiadałem wyżła — pudelpointera. W lipcu pies ten biegał do sąsiedniej wioski oddalonej od mej osady o 10 km. Biegał do suki. Musiał przebiegać przez 2 cudze obwody łowieckie. Został zastrzelony na cudzym obwodzie przez dzierżawcę tego łowiską. Dzierżawca tłumaczył się tym, że *psa uważał za kundla klusującego, że rasy pudelpointera nie zna, a tym samym jest w porządku wobec prawa. Proszę o wyjaśnienie, czy stanowisko dzierżawcy jest zgodne z ustawą łowiecką.* *R. F. Lipnica*

W myśl art. 36 rozp. Prezydenta Rzplitej z dnia 3 XII 1922 o prawie łowieckim, może uprawniony do polowania zatrzymać cudzego psa myśliwskiego włóczącego się w obwodzie łowieckim; w razie zatrzymania psa winien zawiadomić właściciela, jeśli zaś nie zna jego adresu, zwrócić się do zarządu gminnego, na którego obszarze pies został zatrzymany. Za psy myśliwskie uważać należy psy legawe (a zatem i pudelpointery).

Dzierżawca obwodu postąpił więc wbrew przepisom art. 36 ust. łowieckiej. Tłumaczenie jego natomiast, że psa uważał za kundla i że nie zna rasy pudelpointerów jest bezprzedmiotowe, gdyż jako myśliwy powinien orientować się w rasach wyżłów, a ponadto nieznajomość prawa nie chroni od ukarania.

SPROSTOWANIE

Podpis pod fotografią „Czternastak" w nrze 10/1938 jest mylny, gdyż jeleń ten w Morawinie p. Kalisz nie został ubity.

Rysunek na okładce Mariana Romały.

Nakład i druk: Rolnicza Drukarnia i Księgarnia Nakładowa Spółka z ogr. odp. w Poznaniu, ul. Sew. Mielżyńskiego 24, telefon 23-65.
Redaktor naczelny: Dr inż. Leon Ossowski.
Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Wierusz.
Adres redakcji i administracji: Poznań, ul. Sew. Mielżyńskiego 24, telefon 23-65.
Prenumerata: za kwartał zł 3, za pół roku zł 6, za rok zł 12. Pocztowe konto rozrachunkowe nr 28, PKO 212 175.
Redakcja nie zwraca rękopisów przyjętych do druku i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów oraz decyzji co do czasu ich umieszczenia.